

JÓZEF MIĄSO
ORCID: 0000-0003-2320-6661
Polska Akademia Nauk
Warszawa

DOI: 10.17460/PHO_2020.3_4.02

MOJA DROGA DO MATURY (1944–1950)



Józef Miąso, 1946 r. Fotografia z książeczki służbowej ZHP

Źródło: wszystkie zdjęcia z archiwum własnego autora

Niemcy wycofali się z Ropczyc w sierpniu 1944 roku tylko do Wisłoki, nad którą leży Dębica. Na tej linii zatrzymała się Armia Czerwona, prowadząc wojnę pozycyjną aż do połowy stycznia następnego roku. Ropczyce znalazły się więc na bliskim zapleczu działań frontowych. W celu zapewnienia sobie wolnego przedpoła bitewnego, Rosjanie wysiedlili kilkadziesiąt wsi położonych w pobliżu Dębicy. Tysiące ludzi wraz z dobytkiem, również z bydłem, w wyniku tej akcji pojawiło się na Ziemi Ropczyckiej, gdzie byli na ogół gościnnie przyjmowani. U nas zatrzymali się państwo Kamińscy z Zawady oraz ich przyjaciółka pochodząca ze Śląska.

Do przeludnienia dawnego powiatu ropczyckiego, stanowiącego teraz najbliższe zaplecze frontu, przyczyniły się też liczne oddziały Armii Czerwonej, rozlokowane tak w mieście, jak i na wsiach. Było tu wiele wojskowych szpitali – niektóre znajdowały się w ogromnych namiotach – oraz warsztatów mechanicznych, w których naprawiano różne urządzenia techniczne, m.in. broń. Dwie uroczę rosyjskie pielęgniarki z wojskowego szpitala w Witkowicach przez kilka miesięcy mieszkały w naszym domu,

zatłoczonym wówczas po brzegi. Polubiliśmy je, a one nas. Dobrze też wspominał oddział saperów, którzy odbudowywali zniszczony przez Niemców most kolejowy. Dużą część robót wykonywali na naszym ogrodzie, przez który przechodziły tory kolejowe. Byli to wybitni fachowcy, wykazujący przy tym nadludzką siłę fizyczną. Żadnych maszyn nie mieli. Z potężnych dębowych kłód zbudowali w dość krótkim czasie prowizoryczny most na jednym torze, po którym mogły przejeżdżać pociągi. Jako ciężko pracujący byli dobrze odżywiani. Dzięki nim poznałem smak osławionej amerykańskiej „tuszonki”, którą mnie czasem częstowali. Natomiast niczego dobrego nie mogę powiedzieć o krasnoarmiejskich pilnujących niemieckich jeńców, którzy pracowali przy odbudowie torów kolejowych. Kuchnia polowa była umieszczona w naszym ogrodzie. W godzinach popołudniowych Niemcy, ustawieni w kolejce, otrzymywali trochę zupy, którą wlewano im do puszek po konserwach. Byłem świadkiem bestialskiego pobicia, pięścią po twarzy, przez młodego mołojca jednego z nie najmłodszych jeńców. Po powrocie ze szkoły (z gimnazjum) wychodziłem czasami na tor kolejowy, by sprawdzić postęp prac nad jego odbudową. Pewnego dnia spostrzegłem leżącego na poboczu oficera, zapewne już bardzo chorego, który zapytał mnie czystą polszczyzną, czy nie wiem, kiedy skończy się ta wojna. Oczywiście nie wiedziałem.

Już w pierwszych miesiącach po zajęciu Ziemi Ropczyckiej przez Armię Czerwoną zaczęły kształtować się załężki „władzy ludowej”. Powstało starostwo dębickie, które miało swoją siedzibę w Ropczycach. Pierwszym starostą został, pochodzący ze Skrzyszowa, niegdysiejszy ludowiec, a od połowy lat trzydziestych aktywny członek Komunistycznej Partii Polski, Piotr Chłędowski (1895–1949). Człowiek ten bardzo źle zapisał się z zbiorowej pamięci mieszkańców naszego powiatu. Opiszę tu scenę, którą oglądałem z odległości kilku kroków. Było to 3 maja 1945 roku, a więc jeszcze przed zakończeniem wojny. Chłędowski przyjechał wówczas do Witkowic wraz z grupą kilku „ubeków” w celu ukarania tych chłopów, którzy nie udali się ze swymi końmi w okolice Dębicy, by pomóc tamtejszym rolnikom w zaoraniu pól. Pamiętajmy, że działo się to w dniu 3 maja, który dla wielu, zwłaszcza starszych mieszkańców wsi, był dniem świątecznym. Na widok samochodu Urzędu Bezpieczeństwa kilku chłopów dosiadło swoich koni i uciekło w pola, na których niedawno toczyła się krwawa bitwa. Starosta kazał do nich strzelać, ale na szczęście kule ich już nie osiągały. Dwie osoby zostały zatrzymane. Jedną z nich, mężczyznę pochodzącego z Kresów Wschodnich, „ubecy” potwornie pobili łufami pepesz, łamiąc mu niemal wszystkie żebra. Drugiego Chłędowski potraktował tak, jak robili to gestapowcy. Z dużego rozędu swoim oficerskim butem wymierzył mu takiego kopniaka, że mężczyzna przeleciał w powietrzu kilka kroków, zanim upadł na ziemię. Był to stary człowiek, Piotr Jarosz, ojciec naszego proboszcza. Działo się to na drodze – dzisiejszej ulicy majora Sucharskiego, w pobliżu mojego domu. Opisana scena głęboko utkwiła w mojej pamięci.

Jesienią 1944 roku ukształtowały się nowe władze Ropczyc. Powstała Miejska Rada Narodowa, do której weszli bardziej znani mieszkańcy, jak na przykład

kupiec Bronisław Hendzel, kierownik szkoły powszechnej Bogusław Sadowski oraz organista Kazimierz Bekus. W składzie tym znaleźli się również dwaj duchowni: proboszcz, ks. Andrzej Juszczyk oraz popularny nauczyciel religii i działacz społeczny ks. Jan Zwierz. Pierwszym burmistrzem Ropczyc został mianowany Michał Chłędowski, brat starosty, legitymujący się niepełnym wykształceniem podstawowym, członek Polskiej Partii Robotniczej. Przez wiele lat jego nazwisko kojarzyło się mnie i moim szkolnym kolegom z uroczystym wiecem, odbywającym się na rynku miejskim 3 maja 1945 roku. Uczestniczyły w nim setki uczniów z miejscowych szkół. Przemawiali głównie nauczyciele szkół średnich, kończący swoje występy popularnym przed wojną okrzykiem: *Najjaśniejsza Rzeczpospolita niech żyje!* Natomiast pan burmistrz wywołał ogólną wesołość zebranego na rynku tłumu młodzieży, kiedy po krótkiej paplaninie skierował do nas następujący apel: *Młodzieżo! Idź i świć!* Po wielu latach, już jako oldboye, powtarzaliśmy sobie ten apel na koleżeńskich spotkaniach. Inne słowa, które zapadły głęboko w naszą młodocianą pamięć i były cytowane przez nas przez wiele lat, pochodziły z przemówienia politruka z Ludowego Wojska Polskiego, przysłanego do naszej szkoły z zadaniem przedstawienia nam wielkości niedawno zabitego generała Karola Świerczewskiego. Ten pięknie wystrojony oficer posługiwał się prymitywnym językiem. Opowiadał na przykład, jak w momencie ataku bandy UPA *żołnierze* prosili: *Generale, schowcie się!*

Jesienią 1944 roku zaczęła kształtować się administracja powiatowa, miejska i gminna. Wójtowie gmin, których ludność została wysiedlona przez Armię Czerwoną, urzędowali w Ropczycach. Powoli odradzały się bądź powstawały partie polityczne i organizacje społeczno-kulturalne. Najliczniejsze było Polskie Stronnictwo Ludowe, ale najbardziej wpływową okazała się, mało znacząca liczebnie, Polska Partia Robotnicza (PPR). Należeli do niej rządzący powiatem oraz miastem Ropczyce bracia Chłędowscy. Znałem tylko kilku członków PPR, m.in. dwóch nauczycieli gimnazjum, sołtysa w Witkowicach, półanalfabetę pana Drausa, nazywanego powszechnie „Suką”, oraz zaprzyjaźnioną z nim Marię Stasikową, dość zamożną wdowę po gminnym urzędniku. Była to elegancka kobieta, prowadząca życie „wesołej wdówki”, która chętnie uczestniczyła w rozmaitych imprezach. Kiedyś zasiadała nawet wśród oficerów w Wojskowej Komendzie Uzupełnień w Dębicy, którzy oceniali przydatność potencjalnych poborowych do służby wojskowej. Lubiła zapewne oglądać nagich chłopców.

W grudniu 1948 roku jako uczniowie musieliśmy oglądać scenę zjednoczenia się, a jak mówiono w Ropczycach „złania się” dwóch partii. Scenę tę odegrali, z całą powagą, w sali byłego Domu Katolickiego, nauczyciel gimnazjum Stefan Dudkiewicz, członek PPR, oraz Ryszard Christoff, członek PPS, dyrektor tegoż gimnazjum. Od tej pory dominującą rolę we wszystkich niemal sferach polityki, gospodarki i kultury zaczęła odgrywać – tak jak w całej Polsce – Polska Zjednoczona Partia Robotnicza.

PPR prowadziła szeroką akcję propagandową, organizując liczne wiece, nawet w małych miejscowościach, na których obiecywano budowę demokratycznej

Polski, ukazując zarazem bezmiar krzywd, jakich doznawały masy ludowe w czasach minionych. Byłem na takim wiecu w Witkowicach w maju 1945 roku. O budowie sprawiedliwej Polski mówił wspomniany już starosta Piotr Chłędowski. O dziejach wyzysku polskich chłopów opowiadał ks. Jan Zwierz, wówczas dyrektor Gimnazjum Mechanicznego, który często towarzyszył staroście w jego akcjach agitacyjnych. Bardzo dobrym mówcą wiecowym był też Longin Herman, dyrektor Gimnazjum Ogrodniczego, członek PPR. Należał on do napływowych mieszkańców i dlatego jest dziś człowiekiem zapomnianym. W 1946 roku został nagle aresztowany przez dębicki UB i słuch o nim zaginął. Jako powód aresztowania „bezpieka” podała jego rzekomą współpracę z okupantem hitlerowskim. Nikt w to nie wierzył, gdyż w tamtym czasie jako przyczynę aresztowania wielu akowców władze bezpieczeństwa często uzasadniały kłamliwie ich kolaboracją z Niemcami. Po aresztowaniu Longina Hermana dyrektorem szkoły ogrodniczej został ks. Jan Zwierz.

Inne partie też prowadziły działalność propagandową i popularyzatorską. Polska Partia Socjalistyczna organizowała wiece oraz konferencje o charakterze oświatowym. Jedna z takich konferencji odbyła się w naszym gimnazjum. Prelegent przyjechał do nas aż z Krakowa. Mówił ciekawie o historii oraz o programie swojej partii. Staraniem PPS reaktywowano w Ropczycach znane dobrze w Polsce przedwojennej Towarzystwo Uniwersytetu Robotniczego (TUR).

Już w 1945 roku wznowiło działalność Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół”, które odgrywało ogromną rolę edukacyjną i kulturotwórczą. Organizacja posiadała największą, i jedyną w Ropczycach, salę widowiskową. Wpływowy od XIX wieku ruch ludowy pełnił również ważną funkcję oświatową. Dużą aktywność na polu szerzenia kultury i edukacji obywatelskiej wykazywała organizacja młodzieżowa „Wici”. Na wsi zaczęły także działać Ludowe Zespoły Sportowe, które popularyzowały m.in. grę w piłkę siatkową.

Po zjednoczeniu partii w 1948 roku niemal wszystkie inicjatywy społeczne, zwłaszcza w dziedzinie edukacji i kultury, były systematycznie likwidowane. Ich miejsce miały teraz zająć instytucje państwowe. Zamknięte zostały „Sokół” oraz Towarzystwo Uniwersytetu Robotniczego. Miejsce trzech organizacji młodzieżowych (Związek Młodzieży Wiejskiej „Wici”, Organizacja Młodzieży TUR i Związek Walki Młodych) zajął jeden Związek Młodzieży Polskiej, który przez dość długi czas nie był akceptowany przez młode pokolenie. Ze szkół średnich został usunięty Związek Harcerstwa Polskiego. Podobny los spotkał Sodalicję Mariańską. Odczułem to na własnej skórze, należałem bowiem do obu tych organizacji.

Omawiając szczegółowo ówczesne życie polityczne, rzeszowski historyk pisze, że w tym czasie na terenie Ropczyc działali jeszcze przeciwnicy władzy ludowej i ustroju socjalistycznego. Rozsiewali denerwujące opinie publiczną plotki, np. o wojnie. W kwietniu 1948 roku usiłowano zastrzelić dyrektora ropczyckiego liceum Ryszarda Christoffa (członka PPS), a kilku członków PPR otrzymało listy z pogrózkami. W kilka tygodni później, ujęto pięciu członków

nielegalnej organizacji składającej się z uczniów Gimnazjum Mechanicznego w Ropczycach (Daszkiewicz, 1991, s. 432). A. Daszkiewicz pisze, że informacja o rzekomym strzelaniu do dyrektora Ryszarda Christoffa jest zwykłą bzdurą. Takiego zarzutu nie postawiono żadnemu z aresztowanych. Szefem tej rzekomej organizacji, a faktycznie grupy koleżeńskiej, był mój brat, Stanisław Miąso, uczeń II klasy Liceum Mechanicznego. Trzech członków tej grupy było uczniami tegoż liceum: Stanisław Miąso, Józef Róg, Tadeusz Sokołowski. Jeden, Józef Kurc, był absolwentem ropczyckiej szkoły mechanicznej, a Józef Majka uczył się w przedostatniej klasie liceum ogólnokształcącego. Wszyscy zostali aresztowani nocą 19 czerwca 1948 roku przez ubeków z Dębicy, których szefem był wówczas człowiek pochodzący z Białostoczczyzny¹. Staszka wyprowadzili do ogrodu około godziny drugiej po północy i najpierw mocno go pobili, a potem zaczęli przesłuchiwać. Gdy zorientował się, że już prawie wszystko o nich wiedzą, wydał im część broni ukrytej w gęstych krzakach, rosnących na nasypie kolejowym w pobliżu naszego domu. Były to: karabin „Mauser” i 3 naboje do niego, niemiecki automat „Bergman” i 23 naboje oraz radziecka „Pepesza” i 9 naboji. Pozostała część tego „arsenału”, na który składał się w pełni sprawny, naoliwiony niemiecki ręczny karabin maszynowy (rkm) z pełną taśmą naboji, jeden karabin „Mauser” oraz dwa pistolety, utopiłem po kilku tygodniach w Wielopolce. Maszynę do pisania, na której w naszym domu pisane były ulotki do działaczy PPR, zakopałem w ogrodzie. Po kilku latach „zjadła” ją rdza. Mnie również zatrzymano tej czerwcowej nocy, ale Staszek zdołał przekonać ubeków, że ja o niczym nie wiem i żadnego udziału w działalności ich grupy nie brałem. Dużo jednak wiedziałem i dzięki temu mogłem nocą wyjmować ze schowków ukrytą broń i przenosić ją do rzeki. Wśród aresztowanych nie było ani jednego mieszkańca Ropczyc. Wszyscy konspiratorzy pochodzili ze wsi, trzech z Witkowic, a dwóch z Iwierzyc. Mój ojciec, który był bardzo krytycznie nastawiony do nowej władzy, mawiał, że dzieci bogaczy wiejskich i „miastowych” zdają maturę i udają się na studia, a dzieci robotników gniją w więzieniach. Było w tym wiele prawdy. Wszyscy uczestnicy tej antysocjalistycznej konspiracji żyli dość krótko. Po kilku najlepszych, bo młodzieńczych latach, spędzonych w strasznych stalinowskich więzieniach, nie odzyskiwali już pełni zdrowia fizycznego i psychicznego i umierali młodo.

W czasie śledztwa, prowadzonego w Powiatowym Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego w Dębicy, byli maltretowani fizycznie. Przyznawali się do napadów z bronią w rękę na różne instytucje nawet w takich miejscowościach, w których nigdy nie byli. Najbardziej ucierpiał mój brat, uchodzący za przywódcę tej organizacji. Gdy był bity, krzyknął pod adresem śledczego: *Ty parobku!* Miał rację.

¹ Kilka lat temu prokurator Instytutu Pamięci Narodowej w Warszawie, pan Kochanowski, przesłuchiwał mnie na tę okoliczność przez ponad 5 godzin. Czynił to na prośbę sądu w Rzeszowie, który wszczął proces karny przeciwko dębickim ubekom. Miałem w nim wystąpić jako oskarżyciel posiłkowy. Nie zostałem jednak wezwany do Rzeszowa, ponieważ prawdopodobnie główny oskarżony zdążył opuścić ten padół.

Wiedział dobrze, że wielu ubeków rekrutowało się z byłej służby folwarcznej². Drogo jednak zapłacił za obrazę śledczego. Wsadzono go na 48 godzin do betonowego bunkra, głębokiego i szerokiego tylko na 1 metr. Staszek miał 180 centymetrów wzrostu. Gdy tracił przytomność, wlewano mu wodę do uszu. Opowiadał nam o tym po wyjściu z więzienia. Wcześniej wiedzieliśmy, że stało się z nim coś złego. Gdy Mama przywiozła mu coś do jedzenia (widzenia nie były możliwe), pracownik aresztu prosił, by przywiozła synowi buty i koszulę, wręczając jej, zapewne bez wiedzy przełożonych, małą paczkę. Były w niej dziesiątki pasków z podartej na strzępy koszuli oraz resztki porwanych na kawałki butów. Staszek zrobił to, gdy dostał swego rodzaju szału w tym bunkrze.

Śledztwo zostało zakończone w sierpniu 1948 roku, a akta sprawy przekazane do Wojskowej Prokuratury Rejonowej w Rzeszowie, która już 20 sierpnia skierowała je do Wojskowego Sądu Rejonowego w Rzeszowie. Dzięki uprzejmości Profesora Jana Drausa dysponuję kserokopiami akt sądu i prokuratury wojskowej, przechowywanych w Archiwum Państwowym w Rzeszowie. Dowiedziałem się z nich, że wszystkie postanowienia o aresztowaniu oraz akt oskarżenia podpisał prokurator wojskowy *mjr Barski Filip mjr*.

Z lektury źródłowego artykułu wybitnego wrocławskiego historyka, profesora Krzysztofa Szwagrzyka, dowiedziałem się, kim był człowiek noszący nazwisko Barski, który zasłużył na miano symbolu stalinowskiego bezprawia w latach czterdziestych i pięćdziesiątych. Był szefem Wojskowych Prokuratur Rejonowych w Rzeszowie i we Wrocławiu. W latach 1948–1955 *przed Wojskowymi Sądami Rejonowymi (WSR) w obu tych regionach, na podstawie zatwierdzonych przez niego aktów oskarżenia, stanęło ponad 5 tysięcy osób, 198 skazano na karę śmierci, rozstrzelano 98, z czego większość stanowiły osoby skazane z przyczyn politycznych* (Szwagrzyk, 2004, s. 841).

Filip Barski urodził się we Lwowie w 1909 roku jako Filip Badner. Pochodził z rodziny żydowskiej. Studiował prawo na Uniwersytecie Lwowskim, ale nie ma pewności, że studia te ukończył. W 1948 roku zmienił nazwisko na Barski. W lutym tegoż roku został szefem Wojskowej Prokuratury w Rzeszowie, a w sierpniu następnego roku powrócił do Wrocławia. W 1951 roku otrzymał awans na stopień podpułkownika.

Staszka z powodu ostrego zapalenia wyrostka robaczkowego poddano operacji w ubeckiej Poliklinice w Rzeszowie. Gdy obudził się o drugiej w nocy

² Za przykład niech posłuży szef UB w Ropczycach, niejaki Jewierz czy Jewiasz. Przed wojną był „wolarzem” we dworze w Skrzyszowie, wożąc beczkowozem wodę dla pojenia bydła. Był to półanalfabeta i do tego złodziej. Zimą 1946 roku przeprowadzał rewizję w naszym domu, żądając od Ojca wydania pistoletu. Groził podpaleniem domu. Okradł nas wtedy ze wszystkiego, co uznał za przydatne dla siebie. Zabrał na przykład dwa „kryształkowe” radia, skonstruowane przez Staszka, który wówczas ukrywał się na Dolnym Śląsku, dwa akumulatory oraz wiele innych rzeczy. Gdy zobaczył termos, krzyknął na ubeką, by nie dotykał, bo to może wybuchnąć. Długo musiałem go przekonywać, by nie zabierał mi suwmiarki i śruby mikrometrycznej. Gdy zobaczył gruby książkowy niemiecki atlas geograficzny, wydany w końcu XIX wieku, krzyknął, że w tym domu musiał być sztab szpiegowski, bo *kto widział tyle map!*

i zobaczył, że pilnujący go ubek śpi w korytarzu, wyszedł w samej szpitalnej piżamie do miasta. Po kilkuset krokach zapukał do jednego z domów i powiedział, że uciekł z więzienia, prosząc o jakieś ubranie i buty. Trafił na zacnych ludzi, którzy udzielili mu niezbędnej pomocy. Ukrywał się przez blisko rok. Został aresztowany 8 lipca 1949 roku, wówczas Filipa Barskiego nie było już w Rzeszowie.

Czterej koledzy mojego brata byli sądzeni za posiadanie broni i napad rabunkowy na działaczkę PPR Marię Stasikową, którego celem było zabranie jej małego pistoletu – tzw. „szóstki” (kaliber 6,35 mm), noszonej zwykle w damskich torebkach. Napad się nie udał, pistoletu nie dostali, choć Stasikowa taką broń z pewnością posiadała. Przyczyna tego nieudanego napadu była następująca. Chłopcy przyjaźnili się ze swoim nauczycielem inż. Ludwikiem Gajem, zamieszkałym w oficynie pałacu w Witkowicach, który pochodził ze Lwowa. Był on działaczem harcerskim oraz aktywnym członkiem Związku Nauczycielstwa Polskiego. Pokazał im kiedyś swoją „szóstkę”, narzekając, iż nie posiada do niej naboju. To dla niego postanowili zdobyć taki pistolecik wraz z nabojami. Po ich aresztowaniu inż. Gaj wyjechał z rodziną na Ziemię Zachodnie.

Rozprawa w tej sprawie, „w trybie przyspieszonym”, odbyła się 5 września 1949 roku przed Wojskowym Sądem Rejonowym. Przewodniczył jej por. Tomasz Skup, ławnikami byli strzelcy – Jerzy Onysk i Tadeusz Nanokalat. Prokuratora wojskowego nie było. obrońcą był Józef Winsz (podobno w Rzeszowie tylko dwie osoby miały uprawnienia do występowania w roli obrońców przed Sądem Wojskowym). Staszek, za posiadanie broni, otrzymał 5 lat więzienia, za udział w „napadzie” na Marię Stasik – 3 lata. Sąd uznał jednak, że skoro *zaboru pistoletu nie dokonał*, to można karę złagodzić i skazał go na 6 lat więzienia. Końcowy fragment wyroku brzmiał: *Przy wymiarze kary wziął Sąd pod uwagę z jednej strony młody wiek oskarżonego (w chwili popełnienia przestępstwa liczył tylko 20 lat) i jego dotychczasową niekaralność, a z drugiej strony napięcie złej woli, brak skruchy i wysoki poziom rozwoju umysłowego. W tym stanie rzeczy orzec należało jak w sentencji* (APR, sygn. 3704, k. 21–23).

Po wyroku przez pewien czas odsiadywał karę na Zamku w Rzeszowie, a następnie został przewieziony do więzienia w Raciborzu, które uchodziło za ciężki zakład karny. Jego ucieczka z ubeckiego szpitala zapewne wydłużyła mu życie. Jego organizm był bardzo osłabiony przez tortury stosowane wobec niego w czasie śledztwa. Pełnego zdrowia nigdy już nie odzyskał. Zmarł tragicznie w wieku 42 lat.

Kiedy skończyły się mroczne lata okupacji, miałem tylko czternaście lat, ale czułem się człowiekiem dojrzałym. Należałem bowiem do pokolenia, które zostało pozbawione dzieciństwa. Już jako nastolatek miałem świadomość, że sam muszę zadbać o swoją przyszłość, czyli być kowalem własnego losu. Postanowiłem więc rozpocząć naukę w szkole średniej w przekonaniu, że zdobyta w niej wiedza otwiera drogę do lepszej przyszłości. Tymczasem, po wycofaniu się Niemców, w Ropczycach zaczęły pojawiać się różne szkoły o poziomie ponadpodstawowym. Najwcześniej wznowiło działalność – utworzone w latach

okupacji – Gimnazjum Mechaniczne, do którego w 1945 roku dołączono Liceum Mechaniczne oraz Gimnazjum Ogrodnicze. Tu też otwarło swoje podwoje wygnane z Dębicy Gimnazjum im. Króla Władysława Jagiełły.

Idąc w ślady mojego brata Staszka, już we wrześniu 1944 roku rozpocząłem naukę w Gimnazjum Mechanicznym. Przedmiotów teoretycznych nie było tam zbyt dużo. Wydaje mi się, że większość czasu zajmowała praca w warsztatach szkolnych, mieszczących się w dawnym budynku Komunalnej Kasy Oszczędności. Spośród nauczycieli tej szkoły zapamiętałem tylko dwie osoby: inż. Władysława Zielińskiego i ks. Jana Zwierza. Nazwisk kierowników warsztatów oraz kuźni, na szczęście, nie zapamiętałem.

Warsztaty szkolne były swego rodzaju zakładem produkcyjnym, wytwarzającym różne przedmioty użytkowe, zwłaszcza narzędzia ślusarskie, które miały szybki zbyt na rynku handlowym. Pierwszym moim zadaniem było wykonanie młotka z dostarczonej mi „odkuwki”. Trzymając ją w imadle, zwanym z niemiecka „szrubstakiem” (od Schraubstock), miałem za pomocą pilnika wykonać młotek zgodnie z podanymi na rysunku wymiarami i dokładnością do 1/10 milimetra.

Posługiwanie się pilnikami, choć fizycznie wyczerpujące, nie sprawiało mi zbyt dużych kłopotów, gdyż Staszek, pełniący dyżur w narzędziowni, dawał mi lepsze, mniej zużyte pilniki. Gorzej było z wywierceniem otworu na drewniany trzonek. W szkole były wprawdzie wiertarki, ale nie było prądu elektrycznego. Elektrownia w Rożnowie, która dostarczała go Ropczycom, znajdowała się jeszcze pod okupacją niemiecką. Energię elektryczną trzeba było w tej sytuacji zastąpić siłą fizyczną uczniów. Jeden z kolegów ciągnął więc z całą mocą pas napędzający wiertarkę i w ten sposób powstawał pożądaný otwór. Potem trzeba było gotowy młotek „oksydować”, czyli zanurzyć go, po nagraniu, w oliwie, by nabrał ciemnego koloru. Gdy zakończyłem pierwsze zadanie, zostałem skierowany do pracy w kuźni, gdzie wykonywałem różne polecenia, do których należało również posługiwanie się kowalskim młotem. Na męczących kilkudniowych zajęciach w szkolnej kuźni zakończyła się moja przygoda ze szkołą zawodową.

Główną przyczyną mojego rozstania się z tą szkołą był stosunek do uczniów personelu nadzorującego prace warsztatów i kuźni. Byli to majstrowie i czeladnicy, być może niezli fachowcy, którzy nie posiadali żadnych kwalifikacji pedagogicznych oraz osobistej kultury. Szkoła istniała dopiero od dwóch lat i nie zdołała w tak krótkim czasie pozyskać właściwych ludzi. Traktowali oni uczniów, zwłaszcza pierwszej klasy, z całą brutalnością, krzycząc na nich, przezywając, a nawet bijąc. Sam dostałem kilka razy po głbie od pana nadzorującego naszą pracę w warsztatach, gdyż nie przyniosłem mu papierosów, których się ode mnie domagał. Papierosów nie miałem, bo w tamtym czasie jeszcze nie paliłem. W pewną wrześniową sobotę pożegnałem tę szkołę na zawsze. Doświadczenie z niej wyniesione przez wiele lat inspirowało moje zainteresowania społecznymi i pedagogicznymi funkcjami kształcenia zawodowego. Tym problemom poświęciłem dwie książki oraz kilka artykułów naukowych (Miąso, 1966, 1979, 1988, 1989, 2003).

Moja decyzja o rezygnacji z dalszej nauki w szkole zawodowej spotkała się z pełną aprobatą rodziców. Jestem pewien, że marzyli o lepszym, to znaczy pełnym średnim wykształceniu swojego najmłodszego dziecka, skoro starsze rodzeństwo takich możliwości nie miało. Brat Janek miał wykształcenie podstawowe i dwuletnią naukę u organisty, siostra Marysia ukończyła pierwszą klasę gimnazjum, a w czasie wojny uczyła się przez rok w szkole ogrodniczej. Najzdolniejszy z nas, Staszek, po ukończeniu Gimnazjum Mechanicznego pracował, a właściwie ukrywał się przed „bezpieką” w Wałbrzychu.



Józef Miąso (pierwszy z prawej) z kolegami przed budynkiem Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącego w Ropczycach, 1950 r.

Ojciec podjął odpowiednie starania, w wyniku których już pod koniec września 1944 roku zostałem uczniem dębickiego gimnazjum ogólnokształcącego, zajmującego część budynku szkoły ogrodniczej. Gimnazjum to miało już dość długą tradycję, cieszyło się opinią prestiżowej instytucji edukacyjnej. Dużą część uczniów stanowiła młodzież pochodząca z Dębicy i jej okolic. Nauczyciele wyróżniali się wysoką kulturą i życzliwym stosunkiem do uczniów. Dobrze zapamiętałem lekcję geografii, na której odpowiadałem na pytania nauczyciela, stojąc przy wiszącej mapie. W pewnym momencie, tuż obok szkoły, eksplodowały dwa niemieckie pociski, wystrzelone z okolic Dębicy. Nauczyciel prof. Cichocki zwrócił się wówczas do klasy, mówiąc: *Kochane dzieci! Zapamiętajcie ten moment i opowiedzcie innym, w jakich warunkach kiedyś uczyliście się.* Jestem pewien, że wszyscy dobrze to zapamiętali. Jeśli o mnie chodzi, to najbardziej wzruszyły mnie dwa pierwsze słowa: *Kochane dzieci!* Takim językiem nie przemawiał do uczniów żaden ze znanych mi wcześniej pedagogów. Polubiłem tę szkołę i jej nauczycieli, m.in. prof. Dobrowolskiego, który uczył języka niemieckiego,

a jednocześnie starał się poznawać horyzont myślowy każdego ucznia. W domu nie miałem w tym czasie odpowiednich warunków do nauki, gdyż był on wypełniony po brzegi wysiedleńcami spod Dębicy, mieszkali też u nas dwie rosyjskie sanitariuszki.

Moja nauka w gimnazjum nie trwała jednak długo. W styczniu 1945 roku przełamana została linia frontu wzdłuż Wisłoki i Armia Czerwona ruszyła na Zachód. Już w tym miesiącu różne urzędy i instytucje zaczęły się przenosić z Ropczyc do Dębicy. Jedną z pierwszych było moje gimnazjum. Zostałem więc „na lodzie”. Bardzo to wydarzenie przeżyłem. Uczniowie pochodzący z zamożniejszych rodzin udawali się do Dębicy, moich rodziców nie było na to stać. Pewną nadzieję na możliwość kontynuowania rozpoczętej nauki budziły jednak uporczywe starania, podjęte przez grupę miejscowych nauczycieli i działaczy społecznych, o utworzenie, a ściślej o restytucję w Ropczycach przedwojennego gimnazjum. W wyniku tych zabiegów w końcu stycznia 1945 roku powstała ogólnokształcąca szkoła średnia pod nazwą Miejskie Koedukacyjne Gimnazjum i Liceum im. Św. Stanisława Kostki w Ropczycach.

Rzeszowska historyczka, nie zadawszy sobie trudu poznania choćby podstawowych faktów dotyczących początków tej szkoły, pisze: *Już we wrześniu 1944 roku reaktywowano działalność przedwojennego gimnazjum w budynku przy ulicy Mickiewicza. Szkoła wróciła do pomieszczeń, które zajmowała do 1937 roku* (Bonusiak, 1991). Prawda jest inna. Od września 1944 roku do stycznia roku 1945 w budynku przedwojennego gimnazjum nie było żadnej szkoły. Mieścił się tam szpital dla rannych oficerów radzieckich, przywożonych niemal codziennie z dębickiego frontu. Wiele czasu musiało upłynąć, zanim salom szpitalnym udało się przywrócić pierwotny charakter izb lekcyjnych. Wiem o tym z własnego doświadczenia, byłem bowiem jednym z pierwszych uczniów tej szkoły.

Dyrektorem szkoły został Ryszard Christoff (1902–1975). Pochodził z okolic Kołomyi. W 1926 roku ukończył studia w zakresie biologii na Uniwersytecie Jagiellońskim, a cztery lata później zdał egzamin przed Państwową Komisją Egzaminacyjną, uzyskując uprawnienia do nauczania w szkołach średnich biologii jako przedmiotu głównego oraz chemii i mineralogii jako przedmiotów dodatkowych. Od 1926 roku do roku 1972 uczył w szkołach średnich – w Ropczycach oraz w Dębicy. Był też działaczem harcerskim. Znakomity dydaktyk, wyróżniał się wspaniałą dykcją, a także wyjątkową męską urodą. Jemu to zawdzięczają Ropczyce reaktywowanie pełnowartościowej szkoły średniej, jej rozbudowę oraz modernizację podejmowaną w latach, które nie były specjalnie łaskawe dla liceów ogólnokształcących, preferując szkoły zawodowe. Dobrze pamiętam te czasy, kiedy „elita” ropczyckich „zawodowców”, zwłaszcza ks. Jan Zwierz, nazywała naszą szkołę „Głupotą”³.

³ Gdy opuściłem Gimnazjum Mechaniczne, ks. dyrektor Jan Zwierz starał się przekonać mojego Ojca, iż popełniłem wielki błąd, gdyż gimnazja ogólnokształcące nie są odpowiednie dla tych, których nie stać na studia uniwersyteckie. Nie przewidział, że będą one bezpłatne.

W pierwszym roku szkoła była bardzo uboga, funkcjonowała bowiem w czasie trwającej jeszcze wojny. Nie było w niej ani ławek, ani tablic. W klasach ustawiono dość duże drewniane kłocce, na których leżały grube, nieheblowane deski. Za tablice służyły pomalowane na brązowo drzwi do izb lekcyjnych. Uczeń musiał mieć kawałek dykty bądź twardej tektury, którą kładł sobie na kolanach i na niej pisał. Miasto pomagało szkole, ale samo było biedne. Sytuacja materialna uległa znacznej poprawie dopiero po wakacjach 1945 roku, gdy na skutek usilnych zabiegów dyrektora Christoffa szkoła została upaństwowiona i otrzymała znaczne środki finansowe na zakup mebli i różnorodnych pomocy naukowych. Stała się też bezpłatna, a nauczyciele zostali pracownikami państwowymi. Straciła jednak patrona św. Stanisława Kostkę, a nowego – Tadeusza Kościuszkę – otrzymała dopiero w 1961 roku.

Gimnazjum zostało szybko wypełnione przez kilka setek spragnionej wiedzy młodzieży, pochodzącej przeważnie z okolicznych wsi. Pojawili się też pierwsi licealiści, głównie ponad dwudziestoletni, którzy w czasie okupacji uczyli się na tajnych kompletach, a maturę zdawali już w 1946 roku. Była wśród nich przyszła żona mojego brata Janka, wieloletnia nauczycielka, Maria Święch (1924–2017).



Kazimierz Gródecki, nauczyciel łaciny, 1948 r.

Nie pamiętam nazwisk wszystkich pedagogów, którzy byli moimi nauczycielami w pierwszej klasie. Naszym wychowawcą i nauczycielem łaciny oraz śpiewu był Kazimierz Gródecki, mieszkaniec Ropczyc, absolwent Warszawskiego Konserwatorium, żołnierz Armii Krajowej i współorganizator tajnych kompletów. Ten młody, przystojny mężczyzna, o ujmującym sposobie bycia, przez cztery lata był opiekunem naszej klasy i moim Mentorem w najlepszym tego

słowa znaczeniu. Zginął tragicznie w czerwcu 1948 roku. Prawdziwego nauczyciela biologii miałem tylko w pierwszej klasie. Był nim Antoni Dryja (1880–1959), wybitny entomolog, autor wielu publikacji, nagradzany w Polsce i w Szwajcarii za swoje osiągnięcia naukowe i popularyzatorskie. Pracował najpierw w Lublinie, następnie w Warszawie, skąd po Powstaniu wyjechał do rodzinnego domu w Ropczycach. W naszym gimnazjum uczył tylko do wakacji. Latem udał się do Puław. Lubiliśmy prowadzone przez niego lekcje, które od wiosny odbywały się wyłącznie na świeżym powietrzu. Widzieliśmy w nim człowieka ogromnej wiedzy i pasji naukowej. Takie osobowości, raczej rzadkie wśród nauczycieli, rozbudzają zainteresowania uczniów i kształtują w nich szacunek dla nauki jako wartości samej w sobie. Dobrze zapisał się w mojej pamięci również nauczyciel języka polskiego Bolesław Szulc, wieloletni kierownik miejscowej szkoły powszechnej. Po wojnie ukończył w trybie zaocznym filologię polską na Uniwersytecie Warszawskim. Uczył gramatyki, a więc przedmiotu niezbyt przez uczniów kochanego. Potrafił jednak zainteresować nas jej rolą w rozwijaniu sprawności umysłowej człowieka. To dzięki niemu zacząłem sobie cenić przekazywaną przez szkołę wiedzę i stawałem się dość pilnym uczniem. Kiedyś zapytał mnie, co to jest aoryst, a gdy podałem poprawną definicję oraz różne przykłady użycia tego czasu przeszłego dokonanego, postawił mi piątkę i powiedział: *Takiś niepokąźny, a taki dobry*. Do dziś wspominam jego słowa z ogromną wdzięcznością. Dobry pedagog częściej ucznia chwali niż karci.

Pierwsze półrocze trwało zaledwie dwa miesiące. Już pod koniec marca 1945 roku otrzymałem świadectwo, które przechowuję w swoim domu jak bezcenną relikwię. Jako „niepokąźny” otrzymałem z siedmiu przedmiotów same „trójki”. Piątkę miałem tylko ze sprawowania, a czwórki z religii, języka polskiego, historii i śpiewu. Uznałem to świadectwo za niesprawiedliwe i w drugim półroczu starałem się tego dowieść. Nauka została teraz przedłużona do końca lipca. Uroczystość zakończenia roku szkolnego odbyła się 28 lipca na boisku naszego gimnazjum, które wówczas żadnej auli nie posiadało. Dla wszystkich – uczniów i nauczycieli – była to bardzo podniosła chwila. Świadectwa wręczał dyrektor Christoff, a ja miałem zaszczyt otrzymać je jako pierwszy. Było na nim jedenaście piątek i jedna czwórka, z matematyki.

W drugim półroczu, na podstawie decyzji władz państwowych, nastąpiła zmiana w programie nauczania. Usunięto naukę języka niemieckiego, a wzywały Niemiec i Niemcy nakazano nam pisać małą literą. Dla mnie ta decyzja była bardzo niekorzystna. Języka niemieckiego uczyłem się już w dębickim gimnazjum, wiele słów pamiętałem z lat okupacji. Gdybym języka Goethego mógł uczyć się do samej matury, z pewnością płynnie bym się nim posługiwał. Z konieczności zacząłem się teraz uczyć języka angielskiego, ale większych sukcesów na tym polu nie osiągnąłem. W Ropczycach nie było wtedy żadnych anglistów. Roli nauczyciela podjął się więc miejscowy adwokat, Witold Serwacki, który ledwo liźnął angielszczyzny. W czwartej klasie zastąpiła go pani Błońska, rodowita Angielka, która wyszła za młodego porucznika, Jana Błońskiego i przyjechała

z nim do Polski. Jej mąż szybko umarł na gruźlicę, a ona klepała straszną biedę z małą córeczką Jagusią, która ciągle chorowała. Kochaliśmy ją m.in. za to, że cudownie opowiadała nam o Anglii swoją bardzo słabiotką polszczyzną, w której było sporo słów niezbyt cenzuralnych, czego nie była zupełnie świadoma. Po wielu staraniach udało się jej powrócić wraz z dzieckiem do Anglii.

Moim nauczycielem matematyki był przez całe sześć lat Stanisław Viscardi, bardzo młody, wybitnie uzdolniony i bardzo inteligentny pedagog. Urodził się w Pietrzejowej, wsi będącej właściwie przedmieściem Ropczyc. Był synem Włocha ożenionego z Bochenkówną, córką dość zamożnego chłopa. Jego ojciec był stolarzem i utalentowanym snycerzem. W swoim dużym domu, zbudowanym z czerwonej cegły i wyróżniającym się wysoką wieżą, uczył kilku młodych terminatorów sztuki stolarskiej. Przed wybuchem wojny wyjechał do Włoch, by odwiedzić rodzinę i nigdy już do Polski nie wrócił. Być może zatrzymały go władze faszystowskie. Nasz matematyk opiekował się schorowaną matką i młodszym bratem, Kazimierzem, który był bardzo bliskim kolegą mojego brata, Staszka. Obaj byli pasjonatami wiedzy technicznej oraz broni, zwłaszcza palnej. W 1946 roku Kazimierz został przez sąd w Rzeszowie skazany na pięć lat więzienia za posiadanie pistoletu, do którego naboje miał otrzymać od Staszka. W związku z tą sprawą bezpieka przez całą noc przetrząsała nasz dom, ale niczego nie znalazła.

Przez kilka lat nie przywiązywałem większej wagi do nauki matematyki, gdyż uważałem siebie za urodzonego humanistę. Profesor Viscardi przygadywał mi nie raz, iż wie, że moje zadania domowe odrabia za mnie brat. Po aresztowaniu Staszka w 1948 roku powiedział mi: *Teraz wreszcie zabierzesz się do matematyki*. Tak też się stało. Za jego radą uzupełniłem braki w moich wiadomościach, opanowałem pamięciowo wzory matematyczne, bez których nie jest możliwe wykonanie poważniejszych zadań i temu właśnie przedmiotowi zacząłem poświęcać więcej czasu. Mój wysiłek zakończył się sukcesem. W liceum wybrano mnie, na wniosek profesora, na przewodniczącego Koła Matematyków. Pełniłem tę funkcję aż do samej matury. Bardzo polubiłem matematykę, która dawała mi wiele satysfakcji i umacniała moje wewnętrzne przekonanie o humanistycznej wartości tej królowej nauk⁴. Była ona drugim, po języku łacińskim, przedmiotem, który sobie najwyżej ceniłem. Być może decydowała o tym i osobowość dwóch młodych nauczycieli – Kazimierza Gródeckiego i Stanisława Viscardiego, blisko ze sobą zaprzyjaźnionych już od czasu udziału w konspiracji. Po wojnie, w 1946 albo 1947 roku, obaj zostali aresztowani i wiele tygodni spędzili w ubecim więzieniu na Zamku w Rzeszowie. Pewnego dnia zjawił się na lekcji języka łacińskiego nasz ukochany wychowawca, profesor Gródecki. Jego wygląd nas przeraził. Był wychudzony, głowę miał ostrzyżoną do gołej skóry. Płacząc jak

⁴ Matematykę lubiłem i po maturze. Gdy już byłem studentem drugiego roku historii, na prośbę mojego kolegi, Gienka Kumana, studenta pierwszego roku Politechniki Warszawskiej, w ciągu dwóch wieczorów rozwiązałem mu bezbłędnie kilkadziesiąt zadań.

dziecko, opowiadał nam o wolności jako największej wartości danej człowiekowi. Myśmy też płakali.

Profesor Kazimierz Gródecki był człowiekiem o wysokiej kulturze, nie miał nic wspólnego z osobowością osławionego galicyjskiego belfra. Uczniów traktował jak przyjaciół i swoich młodszych kolegów. Dobrze znał łacinę i kulturę starożytnego Rzymu, czym nam niezmiernie imponował. Uczył także śpiewu, który był przedmiotem nadobowiązkowym. Na tych lekcjach przerabiał z nami prawie cały *Śpiewnik domowy* Stanisława Moniuszki, który poszerzał naszą wiedzę historyczną. Ponadto prowadził międzyszkolny chór, który cieszył się wielką popularnością również poza granicami Ropczyc. Podczas niektórych nabożeństw szkolnych grywał na organach i cudownie śpiewał swoim pięknym tenorem ulubione przez niego pieśni maryjne. Był naszym nauczycielem i wychowawcą klasowym aż do małej matury, którą zdawaliśmy w czerwcu 1948 roku. Wkrótce po jej zakończeniu zmarł tragicznie.

Nauczycielem geografii i zajęć praktycznych był Adolf Burowski. Ten wysoki, szczupły i dość młody mężczyzna imponował nam wszystkim, czego się dotknął – nie tylko szeroką wiedzą, ale i ogromnymi zdolnościami manualnymi. Na zajęciach praktycznych nauczyliśmy się wykonywania wielu pożytecznych rzeczy, na przykład masek z papieru. Uczył nas też pisania podań i życiorysów. Był pomysłodawcą i wykonawcą plastycznych map geograficznych, które były zalecane przez Ministerstwo Oświaty do użytku w szkołach. Jego stosunek do uczniów był niemal koleżeński, mogliśmy się zwracać do niego z każdą sprawą, a nawet powierzać mu swoje tajemnice. Kiedy powiedzieliśmy mu, że boimy się rekolekcji, bo ksiądz prefekt zapowiedział, że będziemy odpytywani z treści podawanych nauk, prof. Burowski obiecał nam swoją pomoc i tej obietnicy dotrzymał. Usadowił się na chórze i pierwszego dnia stenografował wszystkie nauki, jakie padały z ambony, co zapewne deprimowało księży rekolekjonistów. Nie odrzucał zaproszeń na śluby i wesela swoich byłych uczniów. Opuszczając Ropczycę w latach pięćdziesiątych, osierocił naszą szkołę. Takich pedagogów pamięta się przez całe życie.

Wieloletnim nauczycielem religii był ks. Michał Siewierski. Był to człowiek bardzo skromny, wyróżniający się szerokim horyzontem intelektualnym. Pochodził z ubogiej rodziny z Rzochowa koło Mielca. Miałem możliwość poznania jego małego, pobielanego wapnem domku, gdyż cała nasza klasa uczestniczyła w pogrzebie jego matki, a później była zaproszona na herbatę i kanapki. Ksiądz Siewierski mieszkał na plebanii wraz z dwoma osieroconymi braćmi, których utrzymywał. Znałem obydwóch. Starszy z nich, Ignacy, zdał w 1947 roku małą maturę i po wakacjach został uczniem Liceum Budowlanego w Jarosławiu. Po roku nauki zmarł na gruźlicę. Młodszy, szczupłutki Antek, był moim kolegą klasowym, razem zdawaliśmy maturę w 1950 roku. Razem z Zenobiuszem Typkiewiczem pięknie tańczył i śpiewał lwowskie piosenki. Zenobiusz był lwowiakiem, którego rodzice zatrzymali się na dłużej w Ropczycach, mając nadzieję, że stąd będą mogli szybciej powrócić do ukochanego Lwowa. Sylwetkę księdza

Siewierskiego, który w liceum ropczyckim pracował kilkadziesiąt lat, opisał już wielu byłych uczniów, nie będę więc powtarzał znanych faktów i ocen. Ograniczę się do kilku uwag i refleksji. Zapamiętałem na przykład lekcje religii, na której dyskutowaliśmy nad historią wypraw krzyżowych. Wszyscy byliśmy wówczas pod urokiem Zofii Kossak-Szczuckiej i jej powieści, zwłaszcza *Krzyżowców* i *Bez oręża*. Ks. Siewierski zaprezentował nam recenzję tych utworów opublikowaną na łamach „Ateneum Kapłańskiego”, której autor odsądzał pisarkę od czci i wiary. Zarzucał jej brak szacunku dla prawdy historycznej, ukazywanie krzyżowców jako ludzi, którzy się przede wszystkim łajdaczą, a rzadko przystępują do sakramentów. Był to sąd niesprawiedliwy, a jeszcze bardziej niesprawiedliwe było zakończenie recenzji stwierdzające, że Kossak-Szczucka to taki orzeł, który nie polecą, bo jest „wypchany”. Nikt z uczestników dyskusji nie poparł opinii recenzenta, ks. Siewierski również.

Jak przystało na prawdziwego prefekta, interesował się naszymi prywatnymi lekturami. Kiedyś zaczął mnie w czasie przerwy, pytając, co teraz czytam. Odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że czytam Jana Parandowskiego *Niebo w płomieniach*. Moja odpowiedź trochę go zaniepokoiła, ale po chwili namysłu nie wyraził swojej dezaprobaty, przyznając, że to wartościowa lektura. Po ten utwór sięgała przecież dojrzewająca młodzież, u której pojawiały się w tym okresie życia różne wątpliwości, z religijnymi włącznie. Jako student historii byłem poproszony przez ks. Siewierskiego, przygotowującego wtedy pracę magisterską, o konsultacje w sprawie przekładu na język polski łacińskiego rękopisu z XVII wieku. Na tym nasze wzajemne kontakty się zakończyły.

Jednym z najmiej wspomnianych profesorów był Stanisław Żaki, który uczył nas języka polskiego i historii. Jego żona, Maria, również uczyła w naszym gimnazjum. Byli lwowiakami, którzy czasowo zatrzymali się w Ropczycach. Profesor Żaki był człowiekiem o wysokiej kulturze ogólnej oraz pedagogicznej. Uczniów, wywodzących się w dużej części z zabiedzonych wsi, traktował z dużym szacunkiem i wyrozumiałością. Miał bardzo słabe zdrowie, męczyła go astma. Pamiętam jego wychudzoną postać, stojącą przy tablicy, której gwałtowny atak kaszlu utrudniał rozpoczęcie lekcji. Mając dwoje podrastających dzieci, w trosce o ich przyszłość, starał się zapewnić im lepszą edukację i dlatego opuścił Ropczyce, przenosząc się do Krakowa.

Przywołując postaci dawnych nauczycieli, powinienem wspomnieć i tych, którzy żadną miarą na miano pedagogów nie zasługiwali. Jednym z nich był Władysław Opławski, podobno przedwojenny zawodowy kapral, człowiek o mentalności feldfebla. Jako etatowy sekretarz PPR w Ropczycach miał prawo do noszenia broni. Uczył „przysposobienia wojskowego” (PW). Wyposażonych w drewniane karabiny, wykonane własnym przemysłem, wyprowadzał nas za miasto, gdzie ćwiczyliśmy musztrę, a czasem słuchaliśmy jego wojennych opowieści. Pewnego razu tak się zapalił, że zaczął nam opowiadać, jak to Polacy wytłukli tysiące bolszewików pod Warszawą, a Wisła stała się czerwona od ich krwi. Jego język, zwłaszcza język komend, był prymitywny. Oto jego przykłady: *Odtrąbiono!* czy

Na d..ę siadł! Nie kochaliśmy tych zajęć, gdyż odbywały się przeważnie we wczesnych godzinach popołudniowych, kiedy byliśmy już zmęczeni i głodni.

Na niechlubną pamięć zasłużył też Władysław Szwed, który przez blisko dwa lata uczył łaciny i języka polskiego. Miał rodzinę w Jarosławiu, do której dojeżdżał pociągiem w każdą sobotę. Był to człowiek sterany wiekiem i pracą w wielu podkarpackich szkołach średnich. Chwalił się, że zna osiem języków, ale jakoś w żadnym nie potrafił się z młodzieżą dogadać i dlatego szkoły szybko rezygnowały z jego „belferskich” usług. Nie szanował godności uczniów, zwłaszcza tych, którzy nie pochodzili z rodzin inteligenckich i mieszczańskich. Gdy wkraczał do klasy musieliśmy witać go słowami: *Salve Magister!* na co odpowiadał: *Salvete vos pueri et puellae!* a kiedy opuszczał klasę krzyczeliśmy: *Vale Magister!* a on zegnał nas słowami: *Valete vos pueri et puellae!* Na lekcjach rzadko rozmawiał z uczniami, przeważnie głośno na nich krzyczał. Jego postępowanie sprawiło, że uczniowie, zwłaszcza niższych klas, nie tylko go nie szanowali, ale wręcz z niego pokpiwali. Byłem świadkiem takiej sceny: prof. Szwed, ubrany w czarną jesionkę, schodzi po schodkach z drugiego piętra. Jest otoczony tłumem uczniów, którzy krzyczą „Feluś!”, bo tak go przezywali, a jeden rysuje mu kredą na plecach znak swastyki. Takie zachowania, o których przecież dyrektor musiał wiedzieć, zamieniały naszą szkołę w cyrk.

W czerwcu 1948 roku zdawaliśmy tzw. małą maturę, wprowadzoną w Polsce przez Ustawę Jędrzejewicza z 11 marca 1932 roku. Nasza klasa jako pierwsza przeszła pełny czteroletni cykl nauczania, zanim została dopuszczona do małej matury. Rok wcześniej zdawała grupa uczniów nieco od nas starszych, którym dyrektor zezwolił na przerabianie programu dwóch klas w jednym roku. Mnie takiej zgody odmówił, twierdząc, że jestem za młody, za co jestem mu wdzięczny. Warto tu dodać, że nasze gimnazjum realizowało przedwojenny program nauczania w oparciu o podręczniki sprzed 1939 roku. Dotyczyło to również historii. Nasza mała matura składała się tylko z części pisemnej, obejmującej swego rodzaju esej, mający wykazać wiedzę ucznia z historii, literatury i zagadnień współczesnych. Jedna z tych prac wywołała szok wśród nauczycieli i sarkastyczne śmiechy wśród uczniów. Jej autor zakończył bowiem swój esej zupełnie poważnym stwierdzeniem, że *dziś na tronie polskim zasiadł Bolesław Bierut*.

Mała matura była dla szkoły korzystna, ułatwiała bowiem odsianie wielu uczniów, którzy znaleźli się w niej przez pomyłkę. Pierwsza klasa gimnazjum miała cztery oddziały, w których znalazła się ponad setka uczniów. Po czterech latach do liceum trafiło nie więcej niż pięćdziesięciu. Pozostali podejmowali pracę bądź przechodzili do szkół zawodowych. Niektórzy, wyjątkowo słabi uczniowie, otrzymywali dyplomy po przyrzeczeniu złożonym dyrektorowi wobec klasy, że nie będą ubiegać się o przyjęcie do liceum. W mojej klasie było kilka takich przypadków.

Po wakacjach kontynuowałem naukę, ale już nie w liceum, lecz w szkole ogólnokształcącej stopnia licealnego. W obu typach szkół nauka miała trwać łącznie nie 12 lecz 11 lat (czyli 7+4). W Ropczycach powstała teraz szkoła stopnia licealnego.

Jej program nauczania, zwłaszcza w ostatnich klasach, pokrywał się w zasadzie z programem przedwojennym. Uczniowie mieli do wyboru klasę humanistyczną lub przyrodniczą. Wybrałem tę pierwszą m.in. ze względu na łacinę, której w niej nauczano. Trochę mnie dziwiło, że po 11 latach nauki zostałem teraz uczniem X klasy. Liczyła ona nieco ponad 30 osób. Dominowała w niej ambitna młodzież, która nie bała się ani matematyki, ani łaciny. Moje liceum, czyli humanistyczne klasy X i XI, stanowiło niejako nową szkołę o dość wysokim poziomie nauczania. Uczyliśmy się nadal matematyki i fizyki. Biologii i geografii program nauczania już nie uwzględniał. Zupełnie nowym przedmiotem, realizowanym w XI klasie, była propedeutyka filozofii, bardzo przez nas ceniona.



Klasa Xh, 1949 r. W drugim rzędzie od góry trzeci z lewej Józef Miąso

Języka polskiego uczyła nas, pochodząca z Brzezina, mgr Maria Lachman, absolwentka Uniwersytetu Jagiellońskiego. Ta samotna, młoda kobieta wynajmowała pokój na I piętrze pięknego drewnianego domu pana Ochaba, stojącego vis-à-vis naszej szkoły. Często odwiedzaliśmy ją na tej przysłowiowej „Górcie”, otwartej zawsze dla tych, którzy dawali wyrazy swojego szczególnego umiłowania ojczyźnej literatury. Przed maturą prowadziła dodatkowe popołudniowe lekcje, oczywiście bezpłatnie. Gdy czytam dziś o masowym zjawisku, jakie stanowią tzw. korki, czyli dobrze płatne korepetycje, to muszę przyznać, że my w Ropczycach pojęcie korepetycji znaleźliśmy tylko z literatury pięknej. Nasi nauczyciele udzielali nam pomocy całkowicie bezinteresownie. Pani Maria Lachman była wychowawczynią naszej X klasy humanistycznej. W następnym roku została tej funkcji pozbawiona. Wychowawcą XI klasy został prof. Stanisław Viscardi, człowiek, którego

bardzo szanowaliśmy. Maria Lachmanówna, tak ją nazywaliśmy, była osobą religijną, ale daleką od zachowań dewocyjnych. Swoimi wykładami z historii literatury, zwłaszcza okresu romantyzmu, potrafiła nas oczarować. Miała do nas pełne zaufanie. Nasza nauka w liceum przypadała na początek okresu stalinowskiego, w którym z nauki i edukacji rugowano tzw. naleciałości burżuazyjne, forsując zarazem marksistowski światopogląd. Pani Lachman omijała sprytnie nakazy omawiania na lekcjach tzw. literatury „produkcyjnej”. Pisała na tablicy tematy z tego zakresu, które myśmy przepisywali do naszych zeszytów, pytając nas następnie, czy coś na ten temat wiemy. Gdy usłyszała naszą chóralną odpowiedź, że nic nie wiemy, przyznawała się, że też nie wie. Rozpocząła wówczas wykład na temat romantyzmu bądź dziejów kultury i myśli społeczno-filozoficznej. Pamiętam na przykład wykład o rosyjskim filozofie XX wieku Mikołaju Bierdajewie, którego dorobek jest udostępniany dopiero w dzisiejszej Rosji.

W naszej klasie było wiele osób zakochanych w literaturze polskiej, nie tylko okresu romantyzmu. Świetnymi polonistkami były moje serdeczne koleżanki: Alicja Szulcówna, córka mojego cenionego nauczyciela, Alina Rożanka (Róg), siostrzenica znanego pisarza, absolwenta ropczyckiego gimnazjum, Wilhelma Macha, Czesława Frączek, utalentowana poetka, córka kominiarza, najpiękniejsza dziewczyna w naszej klasie, Helena Stępień, która została w końcu farmaceutką, oraz koledzy: Franciszek Jarzab, ksiądz pracujący w Gdańsku, i Władysław Bieszcz – lekarz pediatra.

Ja byłem uważany za szczególnego pupila naszej polonistki. Często z nią rozmawiałem na temat nowszej literatury, o której trochę wiedziałem, gdyż przenieśliśmy dwa czasopisma literackie. Przed maturą otrzymałem jej zdjęcie z piękną dedykacją, zaczynającą się od słów: *Stoikowi klasy XI h*. Wiedziała bowiem, że tak jestem w naszej klasie nazywany. Ówczesni licealiści mieli już trochę wiadomości o filozofii starożytnej Grecji, znali podstawy logiki oraz psychologii, m.in. naukę o temperamentach. Zagadnienia te obejmowała propedeutyka filozofii, której uczyli się w klasie maturalnej. Szkoda, że dzisiejsza szkoła tego przedmiotu nie naucza. Mojemu pokoleniu ułatwiał on pokonywanie rozlicznych trudności, jakie napotyka się zwykle na pierwszym roku studiów. Znaliśmy bowiem podstawowe pojęcia z zakresu filozofii, logiki oraz psychologii, a także nazwiska wybitnych filozofów. Pani profesor Lachmanówna nie była zapewne dobrze widziana przez władze polityczne, które obawiały się jej wielkiego wpływu na młodzież. Odebrano jej najpierw wychowawstwo w naszej klasie maturalnej, a dwa lub trzy lata później przeniesiono ją z Ropczyc aż do Leska w Bieszczadach. W połowie lat pięćdziesiątych odwiedziłem ją w jej rodzinnym domu w Brzezinach. Poznałem wówczas jej brata, Stanisława Nowakowskiego, także polonistę, który jako oficer Armii Krajowej przez kilka lat ukrywał się pod tym nazwiskiem, pracując w liceum w Radomiu. Ostatni raz spotkałem ją w Warszawie, w połowie lat siedemdziesiątych, w gmachu Zarządu Głównego ZNP, gdy minister oświaty Jerzy Kuberski dekorował ją Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Obok niej stał kurator rzeszowski Józef Kolbusz, absolwent Liceum

Mechanicznego w Ropczycach, który był inicjatorem wniosku o odznaczenie tej wybitnej nauczycielki i patriotki.



Maria Lachman, nauczycielka języka polskiego, 1950 r.

Nauczycielką historii była mgr Maria Waydowska, absolwentka Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. Po wojnie osiedliła się w Ropczycach wraz ze swoim starszym bratem Tadeuszem Waydowskim, który był lekarzem. Dość długo mieszkali w zabytkowym, drewnianym domu, w którym podobno przyszedł na świat wybitny malarz Józef Mehoffer, syn ropczyckiego starosty. Ten stary dom, będący dziś w stanie „agonalnym”, jest od dawna pod ochroną, ale miejscowe władze nie mogą się jakoś zdobyć na remont. Maria Waydowska, serdecznie zaprzyjaźniona z Marią Lachman, podchodziła do historii z wielką powagą. Starła się nauczyć nas rozumienia historii, a nie jej podziwiania czy potępienia. Było to bardzo trudne, zwłaszcza po roku 1948, gdy nad nauką historii zaciążyła polityka. Niemal do matury posługiwaliśmy się przedwojennymi podręcznikami, przeważnie przepelnionymi faktografią. Monografie historycznych, poświęconych ważniejszym faktom bądź zjawiskom, w ogóle nie czytaliśmy. By zachęcić nas do studiowania historii Związku Sowieckiego, do szkoły sprowadzano setki egzemplarzy osławionej *Historii WKPb* w cenie jednej złotówki. Jej zakup był obowiązkowy. Nie wymagano jednak od uczniów poznania treści tej książki. Nas zainteresował tylko jeden rozdział zatytułowany *Najazd jaśniepanów polskich na młody Kraj Rad*. Na przerwach kpiłiśmy z zawartej w nim treści.

Po śmierci profesora Kazimierza Gródeckiego i odejściu profesora Władysława Szweda szkole zabrakło nauczyciela łaciny, jednego z najważniejszych przedmiotów w oddziale humanistycznym. Dyrektorowi udało się nakłonić miejscowego

emerytowanego notariusza, Jana Zarosłego, do podjęcia się funkcji nauczycielskiej. Ten stary prawnik był znakomitym znawcą i wielbicielem języków starożytnych, mówił biegle po łacinie, ale sztukę nauczania opanował raczej w ograniczonym zakresie. Stawiał uczniom bardzo wysokie wymagania, nie mógł pojąć, dlaczego w piątym roku nauki nie potrafimy mówić po łacinie. Na lekcjach tłumaczyliśmy głównie teksty historyków rzymskich, m.in. Tacyta i Liwiusza. Gdy profesor zorientował się, że potrafię tłumaczyć tych autorów, pewnie dla ułatwienia sobie życia nękał mnie tą pracą niemal na każdej lekcji. Doceniał jednak moje wysiłki, nie szczędząc mi różnych pochwał. Postanowił nawet nauczyć mnie greki, pozostając ze mną klika razy po lekcjach. Opanowałem wówczas grecki alfabet, liźnąłem odrobinę gramatyki, poznałem kilkadziesiąt słówek i nauczyłem się na pamięć kilku początkowych wierszy *Iliady*, które po polsku brzmią: *Gniew Achilla głós Bogini, gniew obfity w szkody, który ściągnął klęsk tyle na greckie narody*.

Profesor Zarosły był człowiekiem starej daty, nie akceptował powojennych przemian, jakim musiała ulec również szkoła, czasami zastępując pedagogikę aktualną polityką. Pewnego dnia, gdy woźny przerwał mu lekcję, wzywając jednego ucznia do gabinetu dyrektora, gdzie miał odebrać telefon z zarządu powiatowego ZMP w Dębicy, profesor wybuchnął strasznym gniewem. Stojąc na środku klasy, z pięknym książkowym wydaniem Liwiusza w ręku, z całą siłą uderzył nim o podłogę. Głośno powiedział też, co myśli o takiej szkole, która nie szanuje pracy nauczyciela, bez uzasadnionego powodu przerywając mu lekcję. Podjął wówczas decyzję o ostatecznym pożegnaniu szkoły, decyzję dla nas bardzo bolesną, gdyż ceniliśmy jego ogromną wiedzę filologiczną i gruntowną znajomość kultury antycznej.

W klasie maturalnej lekcje łaciny prowadził pan Józef Strzyż, absolwent dawnego ropczyckiego gimnazjum klasycznego. Pochodził z Pietrzejowej, był ożeniony z Zofią Jaroszówną, siostrą naszego proboszcza. Praktyki nauczycielskiej nie miał żadnej, posiadał jednak talent dydaktyczny i niezłe znał łacinę. Bardzo solidnie przygotowywał się do każdej lekcji. Czasami zadawał prace domowe, polegające na przekładzie na język łaciński tekstu polskiego. Sprawiedliwie oceniał nasze postępy w nauce.

W czerwcu 1950 roku, po sześciu latach nauki, zostałem dopuszczony do egzaminu dojrzałości. Tematu egzaminu pisemnego z języka polskiego dokładnie już nie pamiętam. Wiem, że dotyczył kwestii społecznych w literaturze polskiego odrodzenia. Pani Maria Lachman oceniła moją pracę na piątkę z plusem, ale reprezentant kuratorium rzeszowskiego przekonał ją, że tego rodzaju stopni regulamin nie przewiduje. Na piątki zdałem też egzaminy ustne z języka polskiego i historii. Języka łacińskiego zdawać nie chciałem. Gdyby żył profesor Kazimierz Gródecki, z pewnością zdawałbym łacinę⁵.

⁵ Profesor Kazimierz Gródecki był dla mnie nie tylko nauczycielem, ale i mentorem, który mnie lubił i doradzał w sprawach życiowych. Gdy w 1946 roku moja Mama, skromna, schorowana kobiecina, przyszła na wywiadówkę i wymieniła swoje nazwisko, profesor Gródecki szybko do niej podbiegł, ucałował jej dłoń i powiedział: *Józiu jest najlepszym uczniem mojej klasy*. Mama pamiętała to zdarzenie do końca życia.

Moja klasa składała się z dobrych koleżanek i kolegów, znających się od dawna, nawet od szkoły powszechnej. Przeczuwając nasze nieuchronne rozstanie się po egzaminie dojrzałości, niejako podświadomie staraliśmy się przebywać ze sobą jak najdłużej. Po lekcjach chodziliśmy więc małymi grupkami na krótkie spacerki. Po nabożeństwach majowych też trudno się nam było rozstawać. Robiliśmy sobie mnóstwo zdjęć, sami i z ulubionymi nauczycielami. Po raz ostatni spotkaliśmy się na skromnym komersie, czyli przyjęciu, w sali Domu Katolickiego, sfinansowanym przez naszych rodziców, w którym uczestniczyła dyrekcja szkoły i duża grupa nauczycieli. Na tym komersie przemawiałem w imieniu wszystkich maturzystów, humanistów i przyrodników. Pamiętam, że w swoim przemówieniu zapewniłem naszych nauczycieli, iż uczynimy wszystko, by byli z nas dumni. Gdy śpiewaliśmy słynną dziewiętnastowieczną pieśń maturzystów *Upływa szybko życie, jak potok płynie czas*, pojąłem jej głęboki sens. Niektórych koleżanek i kolegów nigdy już nie zobaczyłem.

Moja edukacja szkolna trwała trzynaście lat. Od szóstego do trzynastego roku życia uczyłem się w dwóch szkołach powszechnych, w Witkowicach i Ropczycach. Po wojnie byłem kolejno uczniem trzech szkół średnich, szkoły mechanicznej oraz dwóch gimnazjów – dębickiego i ropczyckiego. To ostatnie dało mi na dalszą drogę życia nie tylko świadectwo dojrzałości i pewien zasób wiedzy, lecz ukształtowało również moją społeczno-moralną postawę. Swoje wykształcenie zdobywałem w małej miejscinie, w której nie było ani teatrów, ani kin, ani też porządnych bibliotek. Moje gimnazjum było przede wszystkim szkołą dla młodzieży wiejskiej, pochodzącej z rodzin, w których aspiracje edukacyjne narastały od dawna, ale możliwości ich zaspokajania pojawiły się dopiero po 1944 roku. Niewielka część tej młodzieży mieszkała w internacie bądź na stacjach. Większość dochodziła piechotą nieraz z dość odległych stron. Jej udział w życiu pozaszkolnym, zwłaszcza w kółkach zainteresowań oraz w organizacjach młodzieżowych, pracujących w godzinach popołudniowych, był więc z konieczności ograniczony.

Wśród uczniów działały dwie organizacje młodzieżowe – Związek Harcerstwa Polskiego i Sodalicja Mariańska. Do ZHP wstąpiłem 6 maja 1946 roku. Należałem do Drużyny im. mjr. Waleriana Łukasińskiego. Bardzo polubiłem tę organizację, która uczyła wielu rzeczy, poszerzała m.in. naszą wiedzę historyczną, organizowała wycieczki, pochody i ogniska. Szybko zdobywałem kolejne stopnie – młodzika, wywiadowcy i ćwika. W sierpniu 1947 roku przebywałem na obozie szkoleniowym w Łączkach Kucharskich (26 dni), zdobywając tam 10 sprawności. Harcerstwo miało dla mnie ogromną wartość wychowawczą. Poszerzyło też moje wykształcenie ogólne. Niestety, decyzją władz politycznych zostało w 1949 roku usunięte ze szkół średnich.

Sodalicja Mariańska nie była organizacją liczną, wydaje mi się, że początkowo należeli do niej tylko starsi uczniowie. Jej opiekunem, czyli moderatorem, był ks. Michał Siewierski. Należałem do niej od 1946 albo 1947 roku, byłem nawet członkiem „Konsulty”, czyli zarządu. Jej działalność sprowadzała się w gruncie



Obóz harcerski w Łączkach Kucharskich, 1947 r., w drugim rzędzie pierwszy z prawej stoi oparty Józef Miąso

rzeczy do zebrań, na których były wygłaszane różne referaty. Wycieczki i ogniska w małym lasku zwanym Sikorkami były bardzo rzadkie. Sodalicja, uprawiając tradycyjny w byłej Galicji kult maryjny, nie kształtowała jednak wśród swoich członków postaw bigoteryjnych. W lipcu 1947 roku uczestniczyłem w trzytygodniowym kursie dla uczniów szkół średnich z diecezji tarnowskiej, w Łącku nad Dunajcem. Były tam różne wykłady nie tylko na tematy religijne. Wiele się wówczas nauczyłem, m.in. z podstaw socjologii, poznałem ciekawych kolegów z różnych gimnazjów. Na zawsze pozostaną w mojej pamięci liczne górskie wycieczki, kąpiele w Dunajcu i pływanie na ogromnych tratwach, na które flisacy chętnie nas zabierali.

Nie wiem, czy w naszej szkole działały już od 1945 roku jakieś polityczne organizacje młodzieżowe. Niemal wszyscy starsi wiekiem uczniowie, którzy zdawali maturę w 1946 roku, w czasie wojny należeli do Armii Krajowej. Związek Młodzieży Polskiej pojawił się pod koniec lat czterdziestych. Jego szeregi wypełniali powoli uczniowie niższych klas, którzy chyba już w szkole podstawowej byli trochę politycznie indoktrynowani. Niektórzy młodzi zetempowcy traktowali nas – „niezorganizowanych” z pewną wyniosłością. Obawialiśmy się ich, wiedząc, że będą mieć jakiś udział w opiniowaniu kandydatów na studentów. W naszej klasie był tylko jeden członek ZMP, Augustyn Matusik, dobry uczeń i świetny kolega. Ten syn kolejarza po latach został naczelnikiem stacji kolejowej w Tarnowie.

Ostatni rok mojej nauki upłynął we względnym spokoju. Religia nie była jeszcze ze szkoły usunięta, jedynie stopień z tego przedmiotu został umieszczony

na samym dole świadectwa. Krzyże wisiały jeszcze na ścianach izb lekcyjnych. „Czynnik społeczny” nie uczestniczył jeszcze w ocenianiu uczniów. Nie było też żadnych porannych apeli. Szkoda, że ta zasłużona szkoła, stanowiąca ważne ogniwo naszej narodowej edukacji, nie doczekała się prawdziwej, naukowej monografii historycznej. Wydane niedawno dużym nakładem kosztów dwa piękne albumy zaspokajają zapewne ambicje lokalnego środowiska, ale nie ukazują prawdziwej roli tej szkoły w społecznych i kulturalnych przemianach Ziemi Ropczyckiej.

Moje gimnazjum, czyli szkołę średnią, w której pobierałem naukę od stycznia 1945 roku do końca czerwca roku 1950, darzę wielkim szacunkiem. Był to trudny czas ogólnego niedostatku i powszechnej biedy, które dotknęły tak uczniów, jak i nauczycieli. Moja droga do matury była najeżona wieloma trudnościami, niedostatkiem materialnym, złym stanem zdrowia oraz kłopotami w rodzinie, związanymi z uwięzieniem brata. Pokonanie tych trudności było możliwe tylko dzięki wsparciu i zachęcie Rodziców, którzy niezachwianie wierzyli w moje zdolności umysłowe. Wierzyli we mnie również nauczyciele, którzy umieli rozbudzać zaciekawienie nauką i doradzać, w jaki sposób to zaciekawienie zaspokajać. Sam się więc uczyłem, a nauczyciele mi w tym tylko pomagali. Spotkałem w tej szkole wielu nauczycieli, ale zapamiętałem jeno czworo wybitnych dydaktyków i prawdziwych pedagogów, których uznawałem za swoich przewodników. Byli to: Kazimierz Gródecki, Maria Lachman, Stanisław Viscardi i ks. Michał Siewierski. Egzamin dojrzałości oznaczał koniec jarzma szkolnego, które mi ciążyło przez trzynaście lat. Poczuję się wolnym człowiekiem, przed którym cały świat stoi otworem. Dalszy los wykuwałem sobie sam.

BIBLIOGRAFIA

Źródła:

Archiwum Państwowe w Rzeszowie (APR), Zespół: Wojskowa Prokuratura Rejonowa w Rzeszowie (WPRR), sygn. 3704.

Opracowania:

Bonusiak S. (1991), *Ropczyce – centrum oświatowym regionu*, w: W. Bonusiak, F. Kiryk (red.), *Ropczyce. Zarys dziejów*, Rzeszów: KAW.

Daszkiewicz A. (1991), *Życie polityczne w latach 1944–1948*, w: W. Bonusiak, F. Kiryk (red.), *Ropczyce. Zarys dziejów*, Rzeszów: KAW.

Miąso J. (1966), *Szkolnictwo zawodowe w Królestwie Polskim w latach 1815–1915*, Wrocław: Ossolineum.

Miąso J. (1979), *Szkoła Przygotowawcza do Instytutu Politechnicznego i późniejsze starania o kształtowanie kadry inżynierskiej w Warszawie w okresieaborczym*, w: E. Domański (red.), *150 lat wyższego szkolnictwa technicznego w Warszawie 1826–1976. Materiały z sesji naukowej z 13–14 grudnia 1976 roku*, Warszawa: Wydawnictwa Politechniki Warszawskiej.

Miąso J. (1988), *Szkoły zawodowe w Polsce w latach 1918–1939: ich rozwój, organizacja i funkcje społeczne*, Wrocław: Ossolineum.

Miąso J. (1989), *Trudne narodziny Politechniki Warszawskiej. Przyczynek do dziejów polityki naukowej w Królestwie Polskim*, „Kwartalnik Historii Nauki i Techniki”, nr 4.

Miąso J. (2003), *Początki wyższych szkół technicznych w zaborze rosyjskim*, w: Z. Ruta, R. Ślęczka (red.), *W służbie szkoły i nauki. Księga poświęcona Profesorowi Czesławowi Majorkowi*, Kraków: Wydawnictwo Naukowe Akademii Pedagogicznej.

Szwagrzyk K. (2004), *Akt oskarżenia zatwierdzam... Sylwetka prokuratora Filipa Barskiego*, w: S. Ciesielski, T. Kulak, K. Ruchniewicz, J. Tyszkiewicz (red.), *Wokół historii i polityki. Studia z dziejów XIX i XX wieku dedykowane Profesorowi Wojciechowi Wrzesińskiemu w siedemdziesiątą rocznicę urodzin*, Toruń: Wydawnictwo Adam Marszałek.

My way towards the secondary school final examination (1944–1950)

Summary

The Germans withdrew in August 1944 only to the Wisłoka river, on the banks of which a county town – Dębica is located. The Red Army also stopped there, conducting a trench warfare until the middle of January 1945.

In this time a few secondary schools were opened in Ropczyce. The teachers were local inhabitants and arrivals from Eastern Poland, mainly from Lviv city. They had high vocational and pedagogical qualifications. The following schools were established there: the mechanical, agricultural and technical school, and the gymnasium. The gymnasium in Dębica was operating on a temporary basis in Ropczyce.

In September 1944 I started my education as a student of school of mechanical engineering. Three weeks later I moved to the Dębica gymnasium which finished its activity in Ropczyce in January 1945.

My further, secondary education was related to the Ropczyce gymnasium opened at the end of January 1945. In this school I received the secondary school certificate in 1950. Students were predominantly of peasant families. Our teachers have formed me both intellectually and morally and especially these ones remain engraved in my memory: Maria Lachman, Maria Waydowska, Kazimierz Gródecki, Stanisław Viscardi and Rev. Michał Siewierski.

Keywords: Józef Miąso, Ropczyce, gymnasium, vocational school, security service.